

**JACEK TARAN**

**OPOWIADANIA**

KRAKÓW 2020



JACEK TARAN

# OPOWIADANIA

SZTUKA ŻYCIA  
SEZON NA WERANDOWANIE

KRAKÓW 2020

© Copyright Jacek Taran

Kraków 2020

Skład i opracowanie graficzne

Agnieszka Cynarska-Taran

Korekta i redakcja

Beata Będzimerowska

Jacek Taran

[www.jacektaran.com](http://www.jacektaran.com)

e:mail: [info@jacektaran.com](mailto:info@jacektaran.com)

tel.: + 48 505 757 663

ISBN 978-83-957580-0-3

# SZTUKA ŻYCIA

Przemykali pustymi ulicami, usiłując nie nadziać się na strażników. To nie było aż takie trudne, bo w ostatnim czasie nawet służby rzadko poruszały się pieszo. Ulice były puste, a wybrakowany, poszczerbiony bruk nie tłumiał kroków. Nagrzane, średniowieczne mury Starego Miasta nie dawały żadnego cienia. Zdawały się parować stęchłym zapachem kurzu i starych piwnic. Gdzieś z daleka, zza pleców, dobiegał coraz głośniejszy sygnał alarmowy pędzących rządowych Sił Sanitarnych.

Josif mocniej ścisnął jej dłoń – spocone, bezwładne palce wymykały mu się z uścisku. Były kruche i delikatne, gorące jakby miały zaraz wybuchnąć niszczącym płomieniem.

- Jeszcze parę kroków i będziemy uratowani. Dasz radę – próbował ją pocieszyć, ale sam nie bardzo wierzył w to, że jeśli nawet dotrą do celu, to znajdą tam jakąś pomoc. W swoim głosie słyszał zwątpienie. Przestraszył się myśli, że ona również dosłyszała to, że jego głos brzmi matowo i głucho, jakby nie było w nim już żadnej wiary.

- Dam radę, dam... - odpowiedziała szeptem. Nie wiadomo czy dlatego, by nikt ich nie usłyszał, czy może miała już zbyt mało sił, by mówić głośnie. Czuł jednak, że wymyka mu się nie tylko z dłoni, z uścisku, ale z też z życia.

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypieniem ledwie na kilka centymetrów. Przez szparę dostrzegli pół twarzy, poszarzałą масечkę zakrywającą usta i nos oraz jedno, podejrzliwie patrzące na nich oko. Duszna woń dawno niewietrzonej piwnicy mieszała się z zapachem środków medycznych.

- Nie możemy was wpuścić, nie ma miejsc – powiedziała twarz w masce.

- Weźcie chociaż ją, już ledwo stoi. Nie ujdzie daleko w takim stanie...

- Przykro mi, nie możemy.

- Proszę, tylko ją. Ja sobie poradzę. Jak się nie zgodzicie, to ją wywiozą.

- Przykro mi... naprawdę nie.

- Zapłacę! – wyjął z kieszeni gruby plik banknotów próbując rozpaczliwie wcisnąć je do środka. Drzwi przymknęły się gwałtownie, a stojąca za nimi postać cofnęła się energicznie w głąb. W ostatniej chwili porwał rękę, ratując ją przed przytrzaśnięciem. Banknoty rozsypały się po podłodze.

- Proszę to zabrać – usłyszał przerażone wołanie. Głos brzmiał teraz odległe, stłumiony ciężkim skrzydłem średniowiecznych drzwi – proszę to pozbiierać i stąd iść, bo wezwę służby – ostatnie słowa zlały się z metalicznym odgłosem żelaznej zasuwki. Josif nie dawał za wygraną – czuł jak Mira coraz ciężiej zwisa oparta o jego ramię, jak jej siły topnieją z każdą minutą, a gorący oddech niemal parzy jego szyję. Zaczął walić pięścią z całej mocy, nie czując bólu jaki sprawiają żelazne okucia zabytkowych wrót. Głuche echo roznosiło się po piwnicznym korytarzu. Długo nie dawał za wygraną, nie patrząc na ryzyko i niebezpieczeństwo, które mógł ściągnąć na siebie i Mirę takim hałasem.

Niespodziewanie, na wysokości jego twarzy, otworzyło się małe okienko, którego wcześniej nie dostrzegł. To samo oko co wcześniej, tylko teraz oddalone, bardziej skryte w cieniu patrzyło nieprzyjaźnie przez okratowany prostokąt. Twarz była już bez maseczki. Pomimo półmroku dostrzegał rysy naznaczone zmęczeniem i strachem.

- Powiedziałem już, idźcie stąd. Nie mam już miejsca dla was – głos był spokojniejszy, ale tak samo stanowczy jak wcześniej.

- Gdzie mamy iść? W takim stanie? Popatrz na nią... - próbował się opanować, żeby nie krzyczeć. Błagalnie wskazał dłonią na Mirę. Twarz w okienku przysunęła się do samych kratek. Ręka Josifa spoczęła czule na jej nabrzmiałym brzuchu. Przez mocno opięty materiał ciasnej, kwiecistej sukienki przebiegał napuchnięty pępek.

- Przykro mi, nie mogę wam pomóc – głos złagodniał zupełnie i zabrzmiała w nim nawet nutka żalu czy współczucia – idźcie do Klasztoru, być może tam was przyjmą. Powodzenia - okienko zamknęło się.

Z chłodnej bramy zabytkowej kamienicy wyszli na rozgrzaną słońcem ulicę. Josif czuł, jak dawno niezmieniana koszula klei mu się do spoconych pleców, a słone strużki spływające po czole szczypią w oczy. Mira dygotała.

- Zimno mi – wyszeptała zachrypniętym głosem. Mówienie sprawiało

jej coraz większą trudność. Czule otulił ją swoją marynarką, którą zarzucił na nią jeszcze zanim doszli do Starego Miasta. Było jej zimno... w taki upał jak dziś, jej ciągle było zimno.

- Chodźmy, do Klasztoru nie jest daleko. Dasz radę? Prawda? To już niedługo się skończy – próbował dodać jej otuchy.

Przełożył jej ramię wokół swojej szyi i wąskim skrawkiem cienia ruszyli tuż przy samej ścianie. Sygnały rządowych samochodów stawały się niebezpiecznie bliskie. Kiedyś ruch pojazdów na ulicach Starego Miasta był zabroniony. Królowały kawiarniane ogródki, sklepiki z pamiątkami, restauracje z lokalnym jedzeniem. Wąskie uliczki wypełniał wielojęzyczny gwar, a z roku na rok rosnąca liczba turystów dawno przekroczyła swój punkt krytyczny, za którym turyści stawali się coraz większym problemem. Kiedyś... niby nie tak dawno. Każdy dobrze pamiętał ten czas przed katastrofą. To był czas tak bliski, ledwie parę kartek w kalendarzu wstecz. Kilka dni temu znalazł w kieszeni zimowej kurtki bilet z ich ulubionego kina. Teraz stało puste, zamknięte na glucho, a właściciel próbował przeżyć sprzedając wymontowane z sali fotele.

To się zaczęło na początku zimy, a może późną jesienią w poprzednim roku. Choć wtedy jeszcze nikt nie przejmował się alarmującymi wieściami z dalekiego świata. Czy to pierwszy raz działo się coś strasznego po drugiej stronie globu? To było gdzieś daleko, poza zasięgiem wyobraźni, poza zmysłami. Trochę z niedowierzaniem, a trochę z nonszalancją patrzono w zimne ekrany telewizorów, z których doniesienia o setkach zgonów dziennie, o braku trumien, były tylko statystyką zagranicznych serwisów informacyjnych i kolejnym powodem do snucia spiskowych teorii. Ale niedługo potem katastrofa dosięgła Kontynentu. Wprawdzie ciągle była daleko, ale słyszało się już jak ktoś mówi, że zna kogoś, kto nie wrócił z zimowych wakacji. Albo wrócił i zmarł. Albo zmarła cała rodzina. To wtedy Mira powiedziała Josifowi, że jest w ciąży. Właśnie mieli wybrać się na swój wypoczynek. Zazwyczaj zimą wybierali się gdzieś na południe, tam gdzie cieplej. Josif był inżynierem budowlanym, a zima to nie był sezon na duże budowy, łatwiej mu było wyprosić urlop u swoich szefów. Nie polecieli. Mira mówiła, że pierwszy trymestr ciąży to nie najlepsza pora na lotnicze wycieczki, zresztą sytuacja na

południu robiła się coraz trudniejsza. Z niedowierzaniem, ale też z ulgą, że nie będzie im żal straconych wakacji, słuchali, jak zamknięto granice kraju, do którego planowali się udać.

Piekło zaczęło się pod koniec lutego. Niezbyt lubiany rząd nagle wprowadził drastyczne ograniczenia wolności. Zamknięto szkoły, uniwersytety, galerie handlowe. Tysiące ludzi z dnia na dzień zostało bez pracy. Zakazano poruszania się po ulicach, handel przeniósł się do podziemia, a szalejąca inflacja pozbawiła gotówkę jakiegokolwiek wartości. Wkrótce przestały funkcjonować też szpitale – zabrakło lekarzy i środków medycznych. Chorych zaczęto wywozić do specjalnie powołanych Ośrodków, z których nikt już nie wracał. Wyłączono internet, a telewizję i wszystkie media przejęła Gwardia Obywatelska – paramilitarne siły rządowe złożone z ochotników ślepo posłusznych Naczelnikowi. Kilka pierwszych nieśmiałych protestów szybko stłumiono z nieadekwatną wcale brutalnością. Zresztą ludzie i tak gromadzili się niechętnie w obawie przed zarażeniem. Przyjazny świat, który tak ciężko budowali przez ostatnie kilkadziesiąt lat, w ciągu paru dni zmienił zupełnie swoje oblicze.

Klasztor znajdował się po drugiej stronie Rynku. Musieli tylko obejść ten wielki, wytyczony siedemset lat temu plac i bocznymi ulicami przedostać się do jego głównych drzwi. Nadkładali drogi, ale było to bezpieczniejsze niż samotne przejście po tej ogromnej i zupełnie pustej przestrzeni. W każdej chwili z którejś z odchodzących od niego ulic mógł wyjechać rozpędzony samochód Służb Sanitarnych. Szans na ucieczkę nie mieliby żadnych. Josif czuł, że jego siły też są na wyczerpaniu, a strach staje się coraz bardziej paraliżujący. Obklejał go i spowalniał ruchy podobnie jak gorące, sierpniowe powietrze. Wycie syren stawało się już tak bliskie, jakby lada moment rozpędzone, czarne skorupy pancernych samochodów miały wyskoczyć zza najbliższego rogu. Ich przeciągłe, wibrujące dźwięki wwierały się w umysł i wypełniały go gęstą watą strachu.

Do głównych drzwi Klasztoru niemal doniósł Mirę na rękach. Na szczęście były otwarte. Gdy tylko zatrzasnęły się za nimi, usłyszał jak po brukowanej ulicy gnają rozpędzone samochody - jeden, drugi, trzeci - liczył w myślach. Mieli szczęście. Udało im się schronić.



Za wysokim progiem kilka stromych stopni prowadziło w głąb ciemnego przedsionka. Natychmiast owionął ich chłód kościelnego wnętrza zmieszany z jakimś dziwnym, nienazwanym zapachem. Coś jak aromat żywicy unoszący się wokół tartaku. Drugie drzwi w przedsionku, te które broniły wejścia do wnętrza świątyni były zamknięte.

Josif już drugi raz tego dnia stukał w stare, ciężkie odrzwia okute przez średniowiecznych mistrzów. Słyszał, jak echo niesie się przez puste wnętrze kościoła i liczył na to, że ktoś usłyszy jego walenie. Odczekał parę chwil, a gdy pogłos dobiegający z wnętrza świątyni zupełnie ucichł, zaczął na nowo dobijać się do drzwi. Uderzał z pasją obiema pięściami, nie szczędząc ramion i skóry żdzieranej o okute żelazem drzwi. Hałas, który czynił, całkowicie zagłuszył kroki wewnątrz kościoła. Niespodziewanie drzwi otworzyły się, pięści Josifa zawisły w powietrzu, a jego oczom ukazał się wysoki, chudy Zakonnik. Wyglądał na starego – na pewno mieścił się już w grupie, którą od paru miesięcy nazywano grupą podwyższonego ryzyka. Trudno było określić, ile dokładnie miał lat. Może siedemdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt.

- Ciszey, ciszej proszę... - powiedział spokojnie – co się dzieje? - dopytał, ale jego czujny wzrok od razu spoczął na ciężowym brzuchu Miry. Nie zadawał więcej pytań.

- Wejdźcie szybko – uchylił drzwi szerzej.

Spod samego chóru, przez całą główną nawę, aż po gotycki ołtarz, ciągnęły się rzędy ciasno ustawionych trumien. Zbite z prostych, nielakierowanych desek napełniały kościół zapachem świeżej żywicy. To stąd ten zapach – pomyślał Josif – żywica i kadzidło. Widok ten wprawił ich w nieme przerażenie – wprawdzie wiedzieli o tym, że liczba ofiar tragedii jest ogromna, ale wiedzieć, przypuszczać, wyobrażać sobie, a zobaczyć na własne oczy, to były dwa różne sposoby poznania.

- Wieczorem wojsko ma je zabrać, bo jutro pewnie znów będą nowe. Nie ma już miejsc. Nigdzie nie ma – powiedział staruszek jakby chciał się usprawiedliwić. Podążali za nim wąskimi drózkami wyznaczonymi przez ustawione na posadzce trumny. Kiedy byli już blisko bocznych drzwi prowadzących do klasztornych krużganków, Mira złapała się nagle za podbrzusze i niemal upadła na jedną z nich. Jej twarz, mokra od potu,

wykrzywiła się w grymasie bólu.

- Już nie dojdę... - wyszeptła – nie dam rady – złapała mocno Josifa za ramię. Poczuł jak jej palce rozpaczliwie wbijają mu się w ramię. Zakonnik błyskawicznie podparł ją z drugiej strony i pomógł jej wstać.

- To już blisko, da pani radę, pomożemy, prawda? - zwrócił się do Josifa, jakby szukał potwierdzenia swoich słów. Wyraźnie tak bliski kontakt z chorą, ciężarną kobietą, sprawiał mu dyskomfort. Kiedy Mira oparła się na ich ramionach Zakonnik zakaszał. Znali ten charakterystyczny kaszel. Głęboki, duszący i bolesny jakby ktoś przepuszczał przez płuca drobinki szkła. Popatrzyli na starca ze współczuciem. Na jego twarzy próba walki z bólem, mieszała się z zawstydzonym, przepraszającym spojrzeniem.

- To nic, to nic... - mruknął – nie smucę się, ufam Panu. Wyzdrowieję, albo zabierze mnie do siebie.

- Tak, przecież niektórzy zdrowieją, trzeba być dobrej myśli – Josif próbował dodać mu otuchy.

- Chyba, że wcześniej zabiorą do Ośrodka – odpowiedział smutno Zakonnik – chodźmy.

\* \* \*

Pamiętam córeczko ten dzień, w którym przyszłaś na świat. Powietrze było gęste od upału i duszne, a ja dygotałam z gorączki i zimna, a może też ze strachu i nerwów. Później żaden następny dzień nie był już tak gorący i tak zimny zarazem... Od wczesnego ranka czułam, że to wydarzy się właśnie dziś, chociaż według moich obliczeń brakowało jeszcze dwóch tygodni. Trudno, mogłam się pomylić. A może po prostu tak bardzo chciałaś już być na tym świecie, że chociaż nie wiedziałaś, co cię tutaj czeka, to chciałaś żyć, chciałaś oddychać, czuć, krzyczeć. Wiedziałam, że jeśli będę miała szczęście, jeśli uda nam się znaleźć schronienie i nie zabiorą mnie do Ośrodka, to dziś się zobaczymy.

Z Josifem poznaliśmy się trzy lata przed twoim urodzeniem. Nigdy nie planowaliśmy ślubu, nie planowaliśmy też ciebie. Zrodziłaś się z naszej miłości, z naszej radości. Byłaś naszym oczekiwaniem i szczęściem, a potem –

gdy zaczęły się długie miesiące światowej tragedii – największym powodem naszych wszystkich lęków i nieprzespanych nocy.

Urodziłaś się w Klasztorze. W tym samym, który stoi do dziś przy Rynku w Starym Mieście. Wtedy już nie mieszkaliśmy w naszym domu. Musieliśmy go opuścić ze względu na nowe przepisy. Według władz nasz dom był za duży tylko dla nas dwojga i ciebie małej w najbliższej przyszłości. Zrobiono w nim punkt kwarantanny przejściowej dla tych, którzy zaczynali chorować i oczekiwali na swoje miejsce w Ośrodku. Nas przeprowadzono do Areny blisko centrum miasta – to tam władze zrobiły miejsce schronienia dla wszystkich tych, którym na mocy nowych przepisów zabrano mieszkania. Dziwiliśmy się dlaczego zabierają te najładniejsze i najnowsze, ale wtedy jeszcze wierzyliśmy, że jest jakaś wyższa konieczność, że przecież niebawem to wszystko się skończy i do tych naszych domów wrócimy. Przecież nikt by nie przypuszczał, że władza potem będzie rozdzielać je między siebie. W Arenie mogliśmy być, póki nie mieliśmy wyraźnych objawów choroby. To było przerażające miejsce. Ogromna hala, w której normalnie odbywały się koncerty wypełniona została tysiącami żelaznych łóżek i tłumem ludzi w różnym wieku, różnym stanie zdrowia. Koszarowe prycze ciągnęły się w równych rzędach aż po daleki kraniec Areny. Stłoczono tam chyba wszystkich mieszkańców, a na pewno tych, którzy już wcześniej zaczynali się buntować przeciwko władzy. Nikt nas tam nie badał. Wystarczyło, że nie mieliśmy gorączki. Uciekliśmy stamtąd, gdy zaczęłam kaszleć. Josif ciągle miał klucze od jakiegoś biurowca, przy budowie którego pracował – nie zdążyli go ostatecznie wykończyć i przekazać inwestorowi, kiedy wszystko stanęło i wszystko zostało zabronione. Ukrywaliśmy się tam kolejne dwa tygodnie. Do czasu, kiedy trochę niespodziewanie nadszedł ten dzień, na który czekaliśmy. Dzień, w którym miałaś pojawić się na świecie.

Biurowiec był na obrzeżach miasta. Stamtąd udało nam się jakimś cudem, pieszo przejść do Klasztoru. Niewiele pamiętam z tej drogi. Byłam na wpół przytomna, z wysoką gorączką, drgawkami i bólami porodowymi. Nie wiem jakim cudem Josifowi udało się mnie zatargać tak daleko. Kilka razy zatrzymywaliśmy się po drodze w różnych miejscach, ale nigdzie nie chcieli nas przyjąć. Bali się, albo naprawdę nie mogli. Nigdy nie miałam

do nich żalu. Sama nie wiem, co bym zrobiła na ich miejscu. Przyjęli nas dopiero w Klasztorze. Poród odbierał jeden z zakonników, a asystował mu twój ojciec. To on pierwszy wziął cię na ręce i przytulił, on pierwszy cię mył i mówił do ciebie. To on też wymyślił twoje imię – Junona, jak rzymska bogini, opiekunka kobiet. Chciał, byś nade mną czuwała na starość. Poród był ciężki, straciłam przytomność – dlatego od pierwszych chwil zajmował się tobą twój tato. Musiał być zrozpaczony i szczęśliwy zarazem. Szczęśliwy, że ma ciebie całą i zdrową. Zrozpaczony, że nikt nie dawał mi szans na przeżycie choćby jednego tygodnia. Ale wszystko ułożyło się inaczej. Uratował nas Zakonnik. Ten sam, który wpuścił nas do Klasztoru. Dał mi swoje lekarstwo – twierdził, że jemu nie pomaga, bo jest tak stary, że te leki już na niego nie działają. Wtedy mu wierzyłam. Dziś wiem, że po prostu poświęcił swoje życie. Zmarł tydzień po twoim urodzeniu – może w tej minucie, która wcześniej była mnie zapisana? Nie wiem nawet jak miał na imię. Może Josif wiedział... Nie wiem czym zrządzeniem – Boga, w którego nigdy nie wierzyłam, losu, a może po prostu biologii, udało mi się dołączyć do tej nielicznej grupy szczęśliwców, którzy wyzdrowieli. Mogłam się tobą zajmować, karmić, przewijać, myć. Było nam tam dobrze, chociaż wiedzieliśmy, że coraz gorzej jest z twoim tatą. To było tak, jakby on mocą swojej miłości zabrał chorobę ze mnie na siebie. Wiem, że to niedorzeczne, ale chcę w to wierzyć. Nie mówiliśmy o tym, nie rozmawialiśmy, jakby w strachu, że samo mówienie spowoduje, że zakonnicy wyrzucą nas z Klasztoru. Albo, że Służby Sanitarne przewiozą go do Ośrodka. Codziennie z małego okienka naszej celi, widzieliśmy jak późnym wieczorem wojskowe samochody odbierają trumny, którymi kościół zapełniał się od rana. Jedne służby zwoziły je do Klasztoru, a wieczorem inne wywoziły. Gdzie? Tego do dziś nikomu nie udało się dowiedzieć.

Zakonnicy pochowali go w jednej ze swoich krypt. Nie mogliśmy uczestniczyć w pogrzebie. Zgłosili Służbom, że to umarł jeden z nich. Nie mogłam się z nim pożegnać, bo gdy jego stan się pogarszał odizolowano nas od niego w trosce o twoje zdrowie. Ja miałam to już za sobą, dla mnie ta choroba nie była już groźna. Chodziło o ciebie. Minęło już tyle lat, a ja nie potrafię zakończyć tej żałoby. Zamknąć trumny, która ciągle otwarta jest w moim sercu i przestać o nim myśleć, przestać tęsknić, przestać go kochać...

Córeczko... Przeżyliśmy obie ten straszny czas również dzięki niemu.

Z Klasztoru wyszłam, gdy miałaś niewiele ponad rok. To był już inny świat. Ci, którzy przeżyli znów chodzili po ulicach. Znów rodziło się mnóstwo dzieci. Na nowo otwarto sklepy i restauracje, szkoły. I nie było już wycia samochodów Służb Sanitarnych. Pozornie wszystko wróciło do normy. Ale nie wrócili już turyści. Ulice bez nich były jakby bardziej puste, niby jaśniejsze, a jednak bardziej szare i smutne. Granice zamknięto – nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano z kraju bez ważnego powodu. Ważnego dla władz. Teraz rząd decydował o tym, co dla mnie jest ważne, a co dobre. Nie wróciły swobody i prawa obywatelskie, jakie znaliśmy z czasów sprzed tragedii, ale za to przybyło zakazów i obowiązków, a drobne nawet wykroczenie traktowane było surowo jak przestępstwo.

Straciliśmy wolność córeczko. Najpierw oddawaliśmy ją po kawałeczku, w imię obrony naszego bezpieczeństwa. Myśleliśmy, że to chwilowe, że tak trzeba. Potem pozbyliśmy się jej zupełnie, wierząc, że rząd w ten sposób chce bronić nas przed światową zagładą. A potem nic już nie było takie samo. Wiem, jakim ciosem byłoby to dla twojego ojca. Kochał wolność, kochał ludzi. Był radosnym człowiekiem, szczęśliwym szczęściem innych. Może to dobrze, że tego nie doczekał?

Po co do ciebie piszę? Nawet nie wiem, czy to przeczytasz, czy ten list do ciebie dojdzie, a jeśli nawet, to czy uda się go przemycić bez cenzury.

Byłam szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, że twoja ucieczka z kraju się powiodła. Ludzie, którym zaufałam wywieźli cię w bezpieczne miejsce. Bardzo daleko, ale tam gdzie możesz żyć normalnie. To była najtrudniejsza decyzja mojego życia, ale wierzyłam w to, że twoja przyszłość i bezpieczeństwo są ważniejsze niż mój strach. Nauczyłam się już żyć z tęsknotą po twoim ojcu, jeszcze jeden kamyk na mój grzbiet, jeszcze jedna tęsknota – zniosłam i to. Jeśli jednak kiedyś spotka cię taki dramat, że utracisz wszystkiego, co kochasz... Jeśli kiedyś, ktoś, odbierze ci twoją wolność, prawo do stanowienia o sobie, to pamiętaj – nie możesz się poddawać. Trzeba się oprzeć, buntować i czekać na zmianę. Wiem, że tam, gdzie teraz żyjesz, to brzmi nierealne, jak jakaś zła bajka. Też tak myśleliśmy z twoim tatą, zanim to na nas spadło. Pamiętasz mnie jeszcze? Miałaś sześć lat, kiedy ostatnio się widziałyśmy. Dziś, kiedy

piszę do ciebie, masz siedemnaście lat, jedenaście miesięcy i sześć dni. Za trzy tygodnie będziesz miała urodziny. Twoje osiemnaste, a dla mnie dwunaste bez ciebie. Więc, jeśli kiedyś spotka cię taka strata, to pamiętaj, że nie można się załamać. Nie można myśleć, że to jest jakieś piekło bez wyjścia. To po prostu życie. Trudne i złe, ale to też jest życie. I posłuchaj mnie – nie przestawaj robić rzeczy najprostszych. Trzeba coś zjeść, trzeba się umyć. Trzeba o siebie zadbać – o swój wygląd i drobne przyjemności, trzeba zatroszczyć się o zachwyty i zdziwienia. Choćbyś nie wiem, jak czuła się udręczona czy ponizona. To będzie bardzo potrzebne nie tylko po to, żeby przeżyć, ale też po to, żeby chciało ci się żyć później, kiedy to wszystko się skończy. Nikt nie zabierze ci wolności, jeśli będziesz ją nosić w sobie. Czy ja umiałam wcześniej szyć? Nie. Zaczęłam doktorat z ekonomii i dorabiałam jako księgowa w firmie, w której pracował twój tato. Tam się poznaliśmy. A dzisiaj jestem krawcową. W sklepach nie ma nic, a ja sama sobie szyję. Czasami myślę przy maszynie, że to będzie dla ciebie, że może by ci się podobała ta bluzka i chciałabyś w niej chodzić. Nie dopuściłam do siebie myśli, że mogę nie dać rady. Przeżyłam.

# SEZON NA WERANDOWANIE

Pierwszego zabrali starego Stefana. Chyba nawet nikt tego nie zauważył. Chociaż pewnie w kuchni to odnotowali. Salowa musiała zgłosić jeden posiłek mniej do wydania. Pewnie poszła i powiedziała – od dzisiaj bez jednego śniadania i bez obiado-kolacji, tak już od dzisiaj. Wywiozła też pościel i łóżko do dezynfekcji. Normalna procedura, jak ktoś umierał. A tutaj ludzie umierają prawie co dzień. Jak jest dzień bez umrzyka, to mówimy, że dziś niedziela, bo Starucha ma wolne i po nikogo nie przyszła. Czasami po niedzieli jest środa albo piątek, albo prawdziwa niedziela, to już różnie. Zależy jak wypadnie. Czasami się zdarza też tak, że niedziela jest w niedzielę. Normalnie. Tylko, że stary Stefan wcale nie umarł, choć niektórzy chyba tak właśnie myśleli.

Akurat to był poniedziałek, nie żadna niedziela. Pamiętam dobrze, bo siedzieliśmy na ławce i nie wiem jak inni, ale ja patrzyłem na szpaki, które po lichej zimie zaczęły hałasować w naszym ogródku. Kot patrzył zza szyby i mało się nie zesrał tak mu się paliło do tych szpaków. No, ale okno zamknięte, a pazurem przecież szkła nie udrze. Ławka stała na werandzie i to był chyba pierwszy taki ciepły dzień, kiedy można było sobie na niej usiąść i zagrzać kości.

- Sezon werandowy czas zacząć – powiedział Szopin z wyraźnym zadowoleniem ukradkiem strzepując popiół pod ławkę. Ukradkiem, bo nie można było palić i Oddziałowa goniła za cygary jakby była wcieleniem afgańskiego charta.

- Taa... Sezon od razu – mruknął do niego Mucha, wieczny malkontent i pierwszy zawsze do krytykowania. Ciągłe mu wszystko nie smakowało, zawsze mu było albo za dużo, albo za mało, za słone, albo za słodkie. Zawsze źle, nigdy dobrze. Wkurwiał wszystkich tym głędzeniem tylko. Wszystkich z wyjątkiem Szopina. Ten był jego zupełnym przeciwieństwem. Nie narzekał, nie wybrzydzał. Brał na klatę, co los przyniósł i nawet marudzeniem Muchy

się nie przejmował.

- Sezon to będziesz miał może w maju dopiero. Pół dnia ciepło, a ten już, że sezon od razu! - rzędził Mucha, a Szopin śmiał się z niego, aż zaszedł się duszącym kaszlem jak stary gruzlik. Sezon na werandowanie miał jednak tego roku nie nadejść ani teraz, ani w maju, ani nawet w lipcu.

Chociaż wtedy, tego pierwszego ciepłego dnia na werandzie jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Mogliśmy toczyć beztrosko nasze codzienne, głupie dysputy, ciesząc się z pierwszych promieni słońca i patrzeć na szpaki w ogródku.

- A słyszeliście, że starego Stefana ścięło? - rzucił nagle Robak

- Jak to ścięło? Stara go wzięła? Kiedy? Nic nie było o tym przy śniadaniu - zdziwił się Szopin.

- A co? Myślałeś, że dziś niedziela? Nie kolego, poniedziałek, ostatnio Stara coraz rzadziej sobie robi wolne. Nawet w niedziele zapierdala, aż wióry lecą - Mucha szybko i bezbłędnie wczuwał się w sytuacje, w których można było wykazać się ględzeniem starego ramola.

- No dzisiaj ścięło albo w nocy. Widziałem jak salowa łóżkiem pustym wyjeżdżała. Do kibla akurat szedłem. Musieli go w nocy zabrać, albo rano jak spaliśmy jeszcze.

- Rzeczywiście, na śniadaniu go nie było. Ten jego kumpel, Pędzel czy jak tam na niego wołają, sam siedział przy stole - Szopin zaczynał sklejać fakty do kupy

- Wałek - mruknął Mucha

- Co wałek? - dopytywał zbity z tropu Szopin

- Nie Pędzel żaden, tylko Wałek. Ksywa taka tego stefanowego kumpla.

- To nie ksywa. Wałek, nazwisko takie - sprostował Robak

- A lizał go pies, ksywa czy nazwisko, co za różnica, jak tutaj trzy czwarte dziadów własnego imienia nie pamięta - bzyczał Mucha. Niewiele mu trzeba było, żeby wpaść we wściekłość. Właściwie wszystko co mówił brzmiało tak, jakby cały czas chodził i żył na wielkim wkurwie.

- Trzeba go będzie dopytać, co ze Stefanem.

- A głównie będzie wiedział, co on ci powie? Ścięło go, to ścięło. Po chuj drać.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu próbując przetrwać tę zaskakującą



wiadomość i jestem przekonany, że nawet Mucha, którego świadomość i sposób bycia balansowały gdzieś pomiędzy chamstwem, a największymi dziełami ateńskich stoików, nie czuł się najlepiej z tą informacją. Niby wszystko było jak zwykle – brak pacjenta, łóżko i bety wywiezione, ale jednak nic tu nie było zwyczajne. Dlaczego nie było oficjalnego komunikatu siostry Oddziałowej o tym, że dziś pożegnaliśmy jednego z naszych współbraci? Dlaczego nie było kapelana, a po śniadaniu modlitwy za zmarłego? Przecież tak było zawsze jak kogo ścięło. A dziś nie. Nikt z nas nie chciał powiedzieć na głos tego, co chyba wszyscy, a przynajmniej ja na pewno, myśleliśmy. Starego Stefana wywieźli żywego. Nie mogło być inaczej.

Siedzieliśmy na werandzie w ten wczesnomarcowy, słoneczny dzień, ciesząc się mimo wszystko, że świeci słońce, chmur prawie nie ma, a wietrzyk jest lekki i ciepły. Ja oprócz tego gapiłem się na szpaki, próbowałem je policzyć, a biedny kot ciągle wariował za szybą. Aż mnie kusiło, żeby go wypuścić. Ale byłaby haja. Oddziałowa to by chyba zawału dostała, a Przełożona jeszcze co gorszego. Tak go kochały, że z tej miłości nie dostrzegały, że zabrały mu całkowicie wolność. W sumie to już miałem wstać i otworzyć mu to okno, ale wtedy zrobiło mi się żal szpaków. No trudno – pomyślałem – wóz albo przewóz, wolność albo życie. Stary Stefan wczoraj był, a dziś go nie ma. Nie przejmowaliśmy się wtedy tym, że z drogi biegnącej za niewielkim lasem, pośród którego położony był nasz Dom, dobiegają wycia syren pogotowia. Przecież słyszeliśmy je codziennie, bo szpital był całkiem blisko, a od szpitala do miasta, to już w ogóle dwa kroki, więc nie dziwiły nas ani trochę. Nie zauważyliśmy wtedy tego, że wyją częściej, przemieszczają się jeszcze szybciej niż zwykle, a i samo wycie jest wściekłejsze, niecierpliwe, bardziej ostateczne. O tym wszystkim przypomniałem sobie o kilka lat później, gdy już byłem daleko, daleko stąd.

Do obiado-kolacji nie wydarzyło się nic szczególnego. Nikt jakoś specjalnie o Stefana się nie dopytywał. Próbowaliśmy zagadnąć Wałka, ale ten to ciągle przebywał na jakiejś innej orbicie i coś mi się wydaje, że nawet nie zauważył braku kumpla, bo gadał do pustego krzesła. Szopin próbował się dowiedzieć coś więcej, ale Oddziałowa go zjeżdżała za pety zostawione na werandzie, więc wołał nie wchodzić w dalsze dyskusje. Mogłaby mu zabrać

resztę tego, co zostawało z jego renty. Większa część naszych skromnych dochodów, rzucanych nam przez państwo po latach ciężkiej pracy, szła na pokrycie kosztów naszego pobytu w Domu. Niektórym zostawało ledwie na oranżadę, a byli też tacy, za których rodzina musiała dopłacać. Jak za mnie.

Na dobre zaczęło się dopiero wieczorem. Jak co wieczór chcieliśmy oglądać „Dziennik”. Wiadomo, że to się już dawno nie nazywa „Dziennik”, ale tak się przecież mówi, co nie? Okazało się jednak, że nie ma telewizora. Nie ma i już. Gdzieś zniknął, ktoś zabrał, ukradł czy sprzedał – nie ważne. Grunt, że nie było.

- Nie ma telewizora! Trzeba go było zawieźć do remontu, zepsuliście – Oddziałowa krzyczała na całą świetlicę, próbując ciałem i szeroko rozłożonymi rękami zagrozić drogę do pustej szafki, jakby się bała, że Bóg wysłucha naszych próśb i odda odbiornik. Jak bramkarz broniący dostępu stała z szeroko rozłożonymi ramiona i energicznie poruszała się na boki. Czarno-biały habit rozwiął się na wszystkie strony i słowo daję, bez cienia przesady, wyglądała jak wielka, nastroszona sroka.

- No jak się zepsuł, jak jeszcze przed obiadem widziałem, że grał i ktoś tu siedział – powiedziałem nieśmiało, a kilka głosów zza moich pleców udzieliło mi mruczącego poparcia. Wiedziałem, że z Oddziałową nie ma dyskusji, ale ze wszystkich mieszkańców Domu ja najbardziej zawsze dopominałem się o wieczorne wiadomości. Zwłaszcza że w różne posty i tak zwane święta nakazane siostry próbowały nam ograniczyć telewizję, jakbyśmy tu mieli nie wiadomo ile innych rozrywek.

- Siostro, ale tak nie można. Jak to, że bez telewizora na wieczór, to co my tu kurwa w więzieniu jesteśmy? - włączył się do dyskusji Mucha.

- Cicho! – zaskrzeczała złowieszczo sroka – koniec gadania – nie zwróciła nawet uwagi na słownictwo Muchy – mówię, że się zepsuł, to się zepsuł. Do pokojów i to szeregiem marsz! Raz! - krzyczała na nas zupełnie bez potrzeby, a jej twarz mieniła się pąsowymi rumieńcami wściekłości i przerażenia. Coś tu było grane, jakaś obca melodia, przebój którego słów jeszcze nie znaliśmy.

Zrugani jak gówniarze za podglądanie dziewczyn pod prysznicem poddaliśmy się przeważającej, przynajmniej mentalnie, sile przeciwnika i zaczynaliśmy się rozchodzić do swoich pokojów. Jednak, gdy tylko

przekroczyliśmy próg świetlicy i wyszliśmy na słabo oświetlony korytarz, spotkała nas nowa niespodzianka. Dwie salowe, które normalnie o tej godzinie powinny być dawno w domu przy swoich chłopach, zaczęły nas energicznie wciskać z powrotem do świetlicy. Widziałem kiedyś w telewizji takie sceny z tokijskiego metra – specjálni funkcjonariusze dopychają ludzi do wagonów. Dokładnie tak samo to wyglądało. Naparły na nas swoimi wielkimi biustami i tłustymi ramionami i zaczęły nas wypychać przez wąskie drzwi do środka. Zrobiło się zamieszanie, a jeszcze płatający się pod nogami kot zaczął się drzeć jak opętany. Pewnie ktoś na niego nadepnął.

- E no, kurwa, co jest grane – nie wytrzymał Mucha – ja pierdolę takie zabawy.

- To że świetlicy mamy wyjść, a na korytarz nie wolno – zdezorientowany Szopin błagalnym spojrzeniem szukał odpowiedzi w coraz bardziej przerażonym, a coraz mniej świętym obliczu siostry Oddziałowej. Nie przypominała już wścieklej sroki. Uwierzcie mi, ja wiem, że to nieładnie mówić na nie „pingwiny”, ale ona teraz naprawdę wyglądała jak przerażony, zrozpaczony pingwin. Rzuciliśmy sobie z Robakiem porozumiewawcze spojrzenia. On i ja zdążyliśmy wyjść na korytarz zanim salowe zapchały nas z powrotem do świetlicy. Po wyrazie jego twarzy poznałem, że obaj widzieliśmy to samo. Był przerażony tak, jak w swojej pingwiniej sroczości przerażona była Oddziałowa. Otóż z pokoju Ruska cztery postacie ubrane w białe, szczelne kombinezony i maski z goglami wyjeżdżały jego łóżkiem na korytarz. Rusek leżał pod koldrą, trochę charczał, trochę gapił się nieprzytomnie w sufit, ale był ewidentnie żywy. Wywieźli żywego Ruska i dokładnie to samo musiało się stać w nocy ze Stefanem.

Kiedy już udało się upchać nas z powrotem do świetlicy Oddziałowa stała w drzwiach i razem z jedną salową pilnowały, żebyśmy nie wyglądali na korytarz. Atmosfera zaczęła robić się coraz gorętsza – na szczęście zaraz nas wypuszczono i kazano rozejść się niezwłocznie do swoich pokoi. Taki rozkaz wydała Oddziałowa. Bardzo łatwo przychodziło jej wcielanie się w generała dowodzącego na polu bitwy. Dobra w tym była, jakby pół życia na armacie jeździła.

Kiedy przechodziłem koło pokoju Ruska, niepostrzeżenie szarpnąłem za

klamkę. Niestety były zamknięte, chociaż ze środka dochodziły jakieś odgłosy porządkowania rzeczywistości.

Przez najbliższe parę dni siostrzyczki tak zaczęły dokręcać nam śrubę, jakbyśmy ze zwykłego domu dla starych dziadów stali się więzieniem o zaostrowym rygorze. O telewizji nie było nawet mowy. Przestały też przychodzić gazety i zamilkło radio grające u pań na kuchni. Czasami można było usłyszeć, jak nuciły sobie do starych szlagierów, które leciały tam od rana do nocy. Teraz nic. Cisza jak w kostnicy, którą coraz bardziej przypominał nasz Dom. A na dodatek tego wszystkiego, jedyny aparat telefoniczny, taki stary na monety, ale ciągle działający, co wisiał w holu koło wejścia, nagle stracił słuchawkę. Kabel, na którym była zainstalowana kończył się teraz kilkoma, kolorowymi jak tęcza kabelkami wygiętymi w różne strony. Cisza, amen, grób, kaplica.

Zacząłem przy każdym śniadaniu uważnie liczyć wszystkich mieszkańców. Oczywiście pojawiło się kilka normalnych zgonów, które przypieczętowane były oficjalnym komunikatem i modlitwą za zmarłego – tyle, że teraz siostry odmawiały ją same, a kapelan nie przyjeżdżał. Tych pomijam, bo to normalna akcja, współpraca biologii i Staruchy. Żadnej sensacji tu nie ma.

W ciągu tego tygodnia, który nastąpił po awanturze o telewizor, oprócz starego Stefana i Ruska nie dopatrzyłem się też nigdzie kilku innych dziadków. Brakowało Rudego, Zagłoby, pana Kazka z drugiego piętra, nie widziałem już nigdzie Wałka, przestał przychodzić na posiłki i gadać do pustego krzesła po Stefanie. Sprawdziłem dyskretnie jego pokój – był pusty. W piątek zobaczyłem, że braki postępują i coraz trudniej było udawać, że nic się nie dzieje. Przestali też przywozić nowych, a puste krzesła na stołówce, coraz dobitniej świadczyły o tym, że nastąpiła jakaś zmiana, której istoty ciągle nikt nie chce nam wyjawić. Na piątkowym śniadaniu nie było już ani głuchego Mariana, ani Staszka Ślązaka, nie przyszedł też Edek Biskup. Tego ostatniego siostry darzyły szczególnym szacunkiem, bo chociaż to był stary pijak i rozpustnik, to jednak magia nazwiska robiła na siostrzyczkach wrażenie potężne.

Bomba wybuchła w sobotę. Nie żaden tam bunt, strajk czy jak go tam nazwać, bo przecież zbyt wielu możliwości strajkowania nie mieliśmy.

Czego niby mogliśmy odmówić? Mieliśmy nie jeść? Bez sensu. Siedzenia na werandzie? I tak ją zamknęły i wprowadziły zakaz opuszczania budynku. Wybuchło chwilowe powstanie. Niezaplanowane, nieprzygotowane. Rzuciliśmy się w straceńczy taniec, jak kosynierzy na czołgi. Wybuchło i zaraz zgasło bez żadnego efektu – zgodnie zresztą z naszą narodową tradycją.

Sobota to był dzień, na który czekaliśmy najbardziej ze wszystkiego. To było nasze święto, ważniejsze nawet od wieczornego „Dziennika” i meczów w telewizorze. Czekaliśmy tak na sobotę, bo w soboty przyjeżdżały do nas studentki!

Robiły to w ramach jakiegoś wolontariatu opieki nad starymi dziadami czy też może praktyk studenckich – nie wnikałem w to nigdy, nikogo to nie interesowało. Przyjeżdżały i jak się to pięknie nazywało animowały nasze życie kulturalno-społeczne. Robiliśmy wydzieranki z papierów kolorowych, ozdoby na święta jedne i drugie, malowaliśmy obrazki, śpiewaliśmy piosenki. Normalnie przedszkole. Ale to była cena, którą bez wahania godziliśmy się płacić za możliwość obcowania z nimi. Te dekolty, te spódniczki, te perfumy... To było najważniejsze, a nie jakieś pieprzone wycinanki. To nas socjalizowało i ukulturalniało, a nie jakieś wierszyki o jesieni czy piosenki o panjezusku i aniołkach. Ciągłe któremuś coś spadało pod stół, żeby tylko można było się schylić i zaglądnąć... Ciągłe, któryś udawał, że nie rozumie, że nie wie o co chodzi, że trzeba mu wytłumaczyć osobno, z bliska, bo głuchy. Tylko wtedy można było upajać się zapachem ich tanich perfum, można było zaglądać w dekolty i niby przypadkiem musnąć włosy. To było nasze święto, nasz szabas, ważniejszy niż niedzielna msza. Ta ich cielesność, ich witalność, nasze fantazje i wspomnienia minionej młodości. A do tego byliśmy przy nich prawdziwymi dżentelmenami. Wznosiliśmy się na wyżyny naszej grzeczności, obmyślaliśmy prezenty i upominki, żeby tylko nas lubiły i nigdy nie rezygnowały z sobotnich odwiedzin. Nawet Mucha, nawet on porzucał tę swoją odpychającą maskę starego zrzędy i frustrata i z wielkim wysiłkiem hamował swoje słownictwo udając, że toczenie kulek z bibuły i naklejanie ich na karton to jest to, o czym marzył przez całe życie. Byliśmy spragnieni ich pochwał, ich ciepłych słów i śmiechu brzmiącego w naszych uszach jak najpiękniejsze melodie dawno minionych lat. Były naszą oazą i przepustką

do świata nie tylko tego, który zostawiliśmy na zewnątrz Domu, gdzieś za laskiem i drogą, ale też do tego, który ciągle tlił się w naszych sercach. Przypominały nam nasze pierwsze dziewczyny, pierwsze zaloty i nadzieje, które z nimi wiązaliśmy.

I teraz w tę sobotę, która nastąpiła po dziwnym i pełnym zagadkowych zdarzeń tygodniu okazało się, że studentki już do nas więcej nie przyjadą. W poprzednią sobotę były, pożegnały się, do zobaczenia za tydzień, a tu nagle żadnego „do zobaczenia” nie ma. Noż kurwa tego już było za wiele.

Normalnie, jak co sobotę po śniadaniu, każdy włożył na siebie co tylko miał najlepszego. Chociaż niektórzy już na śniadanie przyszli odstawieni jak do pierwszej komunii. Ja wolałem się przebrać później, bo to wiadomo – zawsze przecież się człowiek może czymś upaćkać przy jedzeniu. No i jeszcze zęby trzeba umyć czy szczękę dobrze obsadzić. Zależnie czym kto jeszcze dysponował. Weszliśmy na piętro do świetlicy i tu normalnie jakby ktoś nam dał po gębie. Drzwi zamknięte na głucho, a na drzwiach kartka „zajęcia zajęciowe odwołane do odwołania”. Tak ktoś napisał, słowo daje: „zajęcia zajęciowe odwołane do odwołania”.

Wkurzyliśmy się już wtedy nie na żarty. Mucha chwycił za nogę stojący pod ręką taboret i z całych sił przypieprzył nim w drzwi świetlicy. Oczy miał przekrwione i krótki oddech starego palacza. Resztkę siwych włosów, które zaczesywał z karku aż na czoło, opadła mu teraz na plecy. Wyglądał jak stary Indianin szturmujący rozpaczliwie fort jankesów. Z głośnym, charczącym rykiem walił tym taboret w drzwi jakby wierzył, że studentki tam są, jakby wierzył, że one tam na nas czekają i tęsknią, ale złe siostry-czarownice zamknęły je w niedostępnej wieży. Początkowo staliśmy wszyscy w osłupieniu. Po którymś uderzeniu siedzisko taboretu odpadło i nie brakło wiele, a Szopin straciłby spory kawałek swojej siwej głowy. Na szczęście nie stracił refleksu i uchylił się w porę, a oderwany blat uderzył w szklaną szafkę z ręcznikami. Nie chcę nawet przytaczać słów, które Mucha wypowiadał przy tej okazji pod adresem nadobnych siostrzyczek. Miejsca by brakło. Dość jednak powiedzieć, że szklane drzwi szafy poszły w drobny mak. No i wtedy się zaczęło. Któryś z naszych dziadów, dziś już nie pamiętam nawet który, chwycił drugi taboret i pieprznął nim w okno wychodzące w stronę lasu. Kot, który do tej pory

czujnie przyglądał się tej awanturze natychmiast wyczuł, że oto nadarzyła się niepowtarzalna okazja. Okazja jaka zdarza się tylko raz w życiu i drugi raz może się już nigdy nie powtórzyć. Świat stanął przed nim otworem. Nie zastanawiał się dłużej ani sekundy. Później uświadomiłem sobie, że to był ten moment, w którym widziałem go ostatni raz. Co zrobiły szpaki? Tego nie wiem, mam nadzieję, że wykazały się refleksem równie dobrym, jak Szopin.

Tymczasem sprawy zaczęły nabierać tempa. Po szafce z ręcznikami poszła kolejna. Nie oszczędzono też szyb w gablotach, na których siostrzyczki wieszały ogłoszenia, modlitwy i różne umoralniające nas hasła. Pamiętam jak kiedyś, to było niedługo po tym jak zamieszkałem w Domu, ktoś za szybę gablotki wsunął rozkładówkę z Playboya. Wielkie zdjęcie Pameli Anderson z monsturalnymi cycami wisiało prawie dwa dni pomiędzy kartkami z modlitwami i widokówkami ze Świętą Rodziną. Przyznam, że nie bardzo mi się to podobało, ale haja była fest i dobrze się to wspomina. Od tamtego czasu siostra Oddziałowa zawsze zostawiała klucze od gabloty, bo wtedy wyjechała a drugich nie było. Leciały teraz te gabloty w drobny mak. Szkło sypało się i dzwoniło, zgrzytało pod kapiami. Taborety fruwały pomiędzy naszymi głowami zahaczając o nisko wiszące lampy i tłukąc je do imentu. Huk pękających żarówek, klosze spadające jak bomby, potłuczone szyby! Było jak na wojnie. Fiurgało odłamkami po korytarzu przy wtórze przekleństw Muchy i naszego starczego rżenia i stękania. To, co się w tamtej chwili działo, można by zilustrować jakimś obrazem Picassa. Nikt nie wiedział, gdzie jest ręka, gdzie noga, skąd lecą potłuczone szyby i gdzie lądują spadające krzesła.

Huk jak z pola bitwy roznosił się po korytarzach Domu aż po piwnice i strych. Oczywiście, że nie mogło to trwać zbyt długo. Zwały szwadron Zakonnicy, wzmocniony sprzymierzonymi siłami Salowych pod dowództwem pana Ksawerego z portierni rozpoczął kontruderzenie.

Nie byliśmy stadkiem miłych kolesi, co młodość spędzili w bibliotekach i czytelnich. Co to, to nie! Niezła z nas była banda starych drani. Rozbójnicy, pijackowie, drobni złodzieje i inne wyrzutki, co to nawet rodziny nie bardzo chciały się do nich przyznawać. Siostry wiedziały, że trzeba na krótko, bo inaczej siedzielibyśmy im na głowach.

- Spokój! Cisz! - warknęła Oddziałowa tak głośno, że aż resztki

szyb wiszących w gablotach zadrżały z przerażenia. Dla podkreślenia jej słów pan Ksawery uderzał metalowym prętem w żelazny kwietnik, który przymocowany był od podłogi do sufitu. Donośne dzwonienie roznosiło się echem jak bicie dzwonów na Anioł Pański.

- Cisza, do jasnej cholery, cisza! – wrzeszczała Oddziałowa, a Ksawery walił prętem po kwietniku. Salowe uzbrojone w strzykawki ze środkami uspakajającymi zaczęły taktycznie otaczać nas z każdej strony. Dopiero teraz zauważyliśmy, że one wszystkie miały na twarzach chirurgiczne maseczki, jak lekarze do operacji. Tylko Ksawery miał taką większą, budowlaną chyba.

Pierwszy podniosłem w górę ręce w geście jaki znałem z filmów o drugiej wojnie światowej. W jednej trzymałem zerwany ze ściany obrazek. Chyba tuż przed interwencją sprzymierzonych sił Zakonu miałem zamiar ciepnąć w nim w ścianę, ale walenie pręta o rurę kwietnika ostudziło mój zamysł.

- Stać! – zawołałem – dobra, chłopaki, koniec tego! Spokój – rozglądałem się po korytarzu wzrokiem, który powoli odzyskiwał ostrość spod białej mgły amoku. Sam już nie wiem co się wtedy z nami stało. Dopadło nas jakieś zbiorowe szaleństwo, pękła napięta struna biegnąca pomiędzy tym, jak cierpliwie znosiliśmy kolejne obostrzenia, a naszą tłumioną wściekłością. To musiało w końcu pieprznąć – normalne prawo przyrody.

- Stać! - zawołałem jeszcze raz – dobra, poddajemy się – musiałem wyglądać jak idiota ciągle z tym obrazkiem nad głową.

- Odłóż to – warknęła do mnie Oddziałowa. Jej głos był stłumiony przez maseczkę, ale takiej złości, jaka w nim charczała, nie była w stanie zagłuszyć żadna przeszkoda. Gdyby miała w sobie więcej wiary, a Pan by wysłuchał jej modlitw, to pewnie wszystkie kawałki szkła leżące na podłodze leciałyby teraz w moją stronę. Jej wąskie, zmrużone oczy, schowane głęboko pod powalą zmarszczonych brwi, otoczone biało-czarnym kornetem zdawały się płonąć żywym ogniem, jak krzak co się zapalił Mojżeszowi na pustyni. Nie myśląc wiele po prostu otworzyłem dłoń. Obrazek pieprznął o podłogę aż miło. Czułem jak drobinki szkła rozprysły mi się po butach. Pierścień Salowych z wycelowanym w nas szprycami zacieśniał się niebezpiecznie, a my jak te wilki w obławie zaczęliśmy zbiegać się do kupy.

Wszystko przepadło. Znow byliśmy jedynie stadem przestraszonych



dziadków. Z naszymi sztucznymi szczękami, pampersami i rzadkimi włosami. Nie znaczyliśmy w tym momencie zupełnie nic. Bój to był nasz ostatni.

Dalsza część soboty minęła podejrzanie spokojnie. Nie było żadnych połajanek, apelu z wyrzutami sumienia czy karnych różańców – takie tu były metody resocjalizacji, gdy ktoś za dużo nawywiјаł. Niepokoiło mnie to. Wolałbym, jakby zagościła hiszpańska inkwizycja, a w pobliskim lasku zapłonęły stosy. Drzew ci u nas dostatek. Przynajmniej byśmy wiedzieli na czym stoimy. A tak to nic – cisza i ani słowa pretensji. Siostry poprosiły tylko, żebyśmy pomogli posprzątać i zobowiązali się do pomocy panu Ksaweremu w naprawie wyrządzonych szkód. Zgodziliśmy się na to potulnie jak boże owieczki. Nic się więcej nie zmieniło, nic się nie wydarzyło. Jedynie zamiast niedzielnej mszy odprowadzanej przez kapelana, siostra Oddziałowa przeczytała fragment Ewangelii. Jestem przekonany, że specjalnie wybrała ten o większej radości z jednego nawróconego niż ze stu sprawiedliwych. Czytając patrzyła wzrokiem biblijnych patriarchów raz na mnie, a raz na Muchę.

Zastanawiało nas jednak dlaczego siostry i salowe chodzą w tych maseczkach. Od jednej udało nam się wydusić, że niby coś się zepsuło. Że kanalizacja może czy wentylacja jakaś, tego nie wiedziała, i strasznie śmierdzi z naszych pampersów i w ogóle jest zaduch nie do wytrzymania. No cóż – ja jej nie wierzyłem, ja niczego nie czułem. Byli jednak tacy, co nie czuli, a uwierzyli.

W niedzielę przy obiado-kolacji Mucha się źle poczuł. Trochę kaszłał, trochę temperatura mu skoczyła. Pod wieczór było z nim już całkiem źle. Spotykaliśmy się czasami na korytarzu pograć w karty jak zamknięta była weranda. Dziś też był taki plan, ale grać bez Muchy, to jak oglądać film w szafce po telewizorze. A do tego jeszcze Robak też zaczął narzekać, że mu zimno, że kaszle jakoś inaczej niż od papierochów i drze go szkłem po płucach.

Położyłem się wcześniej i długo nie mogłem zasnąć. Próbowałem czytać stare gazety, krzyżówkę jakąś może, ale nie szło mi w ogóle. Wsłuchiwałem się w odgłosy Domu – bulgoczące rury, trzaskające drzwi od kibla, jakieś szurania, stuki i pomruki. Za zakratowanym okienkiem szumiał lasek, a ja próbowałem ogarnąć moim alkoholowym umysłem to, czego nie rozumiałem. I za żadną cholerę nic, ale to kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy!

Bo niby co by to miało być? Wojna? Nie, zbyt cicho i za spokojnie. Odcięty telefon, schowany telewizor, nikt nas nie odwiedza – stan wojenny! To już prędzej, to już kiedyś było i znałem instrukcję obsługi. Ale czy znów nikt nas nie napadł? A jeśli napadł, to kto, gdzie i skąd? Za dużo pytań, za mało odpowiedzi. Zasnąłem w końcu znużony tą rozkminą, a trzeba uczciwie przyznać, że do pracy intelektualnej nawykły nie byłem.

Obudził mnie w środku nocy warkot silników. Błękitne refleksy świetlne tańczyły po ścianie mojego pokoju jak olbrzymie motyle. Zaspany nie od razu zorientowałem się co za hałas, co za szum. Zerwałem się z łóżka i chwilę zajęło zanim dotarło do mnie, że źródło tych świateł jest za oknem. Otworzyłem i wyrząłem przez kraty. Noc była ciepła, lichego księżyc wisiał gdzieś daleko poza gołymi, bezlistnymi wciąż gałęziami drzew.

Mój pokój był na pierwszym piętrze. Mogłem więc niezauważony patrzeć z góry na to, co działo się przed Domem. A działo się coś, co z pewnością było kolejnym aktem tych wszystkich spraw, których istoty pojąć wtedy nie potrafiłem.

Dwa samochody wyglądające jak karetki pogotowia stały przed naszym Domem z włączonymi niebieskimi kogutami. Było jak w piosence – niebieska szklanka miga, blacharnia Ziutka zwija już. Tylko, że cztery postacie, odziane w białe skafandry, przezroczyste maski i jakieś dziwne kapelusze zwijały nie Ziutka kolesia Celiny, ale moich kumpli: Muchę i Robaka. Odruchowo odsunąłem się za firankę, ale pokusa zdobycia wiedzy i zwyczajna ciekawość wygrały z moim strachem. Dostrzegłem też Oddziałową. Nie byłem całkiem pewien czy to ona, bo wzrok już nie ten, zwłaszcza kiedy ciemno, a siostry w tych habitach i tak wyglądają wszystkie identycznie, ale zgarbiona tęgawa sylwetka, nieco kaczy, kołyszący się chód podpowiadały, że to ona. Biegała śmiesznie pomiędzy jednymi i drugimi noszami wykonując jakieś gesty jakby udzielała im ostatniego namaszczenia. Typy w skafandrach zdawały się ją przeganiać i wyraźnie im przeszkadzała. Wychyliłem się nieco bardziej, żeby lepiej widzieć i wtedy leżący na noszach Mucha mnie zobaczył! Zrobił jakiś niemrawy gest w moja stronę jakby prosił o ratunek. Jego stare, siwe oczy wypełnione były rezygnacją jakiej nigdy wcześniej, ani później już nie widziałem. Nie zauważyłem nawet, kiedy odjechało auto z Robakiem,

tak mnie zaczarował wzrok Muchy. Jeszcze chwilę ci sanitariusze czy kto to był, coś gadali z Oddziałową, jeszcze coś zwlekali, a Mucha patrzył prosto w moje okno. W końcu wsunęli go zupełnie, jak się wsuwa brytfannę do pieca, a ja zdążyłem tylko machnąć mu ręką i mrugnąć jednym okiem. Nie wiem czy to w ogóle zauważył, a ja nie spotkałem go już nigdy więcej. Odjechali. Oddziałowa weszła do budynku. Dopiero po chwili, kiedy karetka wyjechała z lasku na główną drogę, usłyszałem wycie syren.

Nowe historia czekały nas od samego śniadania. Bez słowa pożegnania i wyjaśnienia zniknął cały kuchenny personel. Nie było ani śladu po lubianych i znanych nam od lat Grażynkach, Krysiach, Bożenkach, a zamiast nich pojawiły się jakieś milczące, obce zakonnice. Spod czarnych maseczek, zakrywających niemal całe twarze, spoglądały na nas przerażone, młode oczy. Poruszały się bezszelestnie jak widma, bez słowa, bez uśmiechu. Przypominały jakieś nindze ze starych japońskich filmów czy coś w tym guście. Ani dzień dobry, ani pochwalony, ani kukuryku, jak powiedział kiedyś jeden prezydent.

Nie było też salowych. Po śniadaniu te młode z kuchni próbowały je zastąpić. Słabo to szło. Widziałem dobrze, jaki problem miały z odniesieniem basenu od jednego z dziadków, co już nawet z łóżka nie wstawał. We dwie niosły z głowami odkręconymi do tyłu, a trzecia je prowadziła. I to wszystko w tych kretyńskich maskach. Jakieś mopowanie, jakieś ścielenie łóżek – no widać były, że nie nauczone roboty nic a nic. Oddziałowa zaczęła latać między nimi, pokazywać, łajać i pouczać, ale tylko jeszcze więcej narobiła dziadostwa, bo młode się przy niej stresowały i mopy im z rąk leciały. W końcu nie wytrzymała! Dramatycznym gestem zdarła maskę z twarzy, oczy jej wyszły do wierzchu i byłaby padła na twarz jak papież całujący ziemię, tę ziemię, gdyby jedna z młodych jej nie podtrzymała. Z trudem łapała powietrze szeroko rozwartymi ustami. Wyglądała jak wyciągnięta z wody gigantyczna orka.

- Za jakie grzechy, za jakie grzechy mnie tak doświadczasz Panie! – bluźniła łapiąc powietrze i zanosząc się coraz cięższym kaszlem – ja tu serce zostawiam, życie moje i tak mi przyjdzie skończyć. Jak Hiob na gnój padnę, ale się nie ugnę – ostatnie słowa wypowiadała już targana takim kaszlem, że trudno było rozróżnić jej słowa. Akurat byłem blisko, to pomogłem młodym ją przytrzymać. Szopin też się nawinął, chwycił ją pod rękę z drugiej strony

i zaprowadziliśmy ją do jej pokoju. Kątem oka dostrzegłem, że jedna z młodych szepcze coś z Ksawerym. Jedyne chyba czynny aparat telefoniczny był w jego dziupli. Jak wracaliśmy z Szopinem, to widziałem przez szybę jak nerwowo drze się do słuchawki.

Chwile potem przyjechało pogotowie – na pełnej bombie z kogutami i wyciem. Nikt się już nie certolił w ceregiele, w parawany i tajemnice. Kto był na siłach, ten wylaź przed Dom, albo gapił się przez okno. Wszyscy widzieliśmy jak Oddziałowa szarpie się z typami w kombinezonach, krzyczy coś o Hiobie i Mojżesz, jak wiążą ją pasami i pakują do auta. Długo jeszcze bez słowa gapiliśmy się za niknącymi w lasku światłami wyjącej karetki. Nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze rozejść, gdy przed Dom zajechał drugi samochód. Wysiadła z niego siostra Przełożona. Rzadko u nas gościła, bo objeżdżała jeszcze inne domy, pilnowała porządku w Zgromadzeniu no i w ogóle była klasztorną bizneswoman.

Wypadła z samochodu z krzykiem na ustach. Była chuda, koścista, z grubymi okularami na zakrzywionym nosie.

- Panowie, do środka proszę, nie ma na co się gapić. Proszę wszystkich do środka – zaganiała nas szerokimi ruchami ramion jak bydłatka do zagrody.

- Za pół godziny zarządzam zebranie w świetlicy. Wyjaśnimy wszystko co się wydarzyło – usłyszeliśmy. Przyznam, że mnie to wtedy ucieszyło. Wreszcie będzie szansa dowiedzieć się, co tu jest do diabła grane.

Stawiliśmy się punktualnie, a nawet przed czasem. Przyszły też najstarsze dziadki z chodzikiem, co rzadko wychodzą poza swoje pokoje, co rzadko pokonują inną trasę niż łóżko-jadalnia, a czasami jeszcze kibel. Teraz doczłapały do świetlicy, która była na poddaszu.

Młode zakonnice gdzieś się pochowały. Siostra Przełożona teraz też założyła maszkę na twarz i tak samo czarną jak młode. Nie wiem czy naprawdę u nas tak śmierdziało czy chodziło o coś innego? Po kiego za przeproszeniem im te maski? Zaraza jakaś? No chyba nie - bez żartów proszę. Coś innego tu musiało śmierdzieć i na pewno nie były to nasze pampersy.

Siedliśmy w końcu, a świetlicową salę wypełniła nasza codzienna muzyka starych fagotów, którymi byliśmy. Te charczenia jak rytmy podartych bębnow, fałszywa harmonia jęków i stęków przy twardych akordach kaszlu

i akompaniamencie chrząknięć, kichnięć właściwych dla naszego wieku. Sala była przestronna, z małą sceną i pustą szafką po telewizorze. Okna wychodziły na zachodnią stronę i o tej porze dnia nie wpuszczały jeszcze zbyt wiele światła. Z sufitów ciągle zwisały bożonarodzeniowe ozdoby, chociaż bliżej już było do Wielkanocy. Nad sceną krzywo wisiał spłowiały napis „Błogosławionego Nowego Roku”. Nieważne. To wszystko było nieważne.

Siostra Przełożona stanęła na scenie i rozkładając ręce jak ksiądz na ołtarzu zaczęła tak:

- Moi ukochani i najdrożsi. Wiem, że jesteście zaniepokojeni zdrowiem waszej oddanej siostry Emanueli. Wierzimy wszyscy, że dobry Pan zachowa ją przy siłach i wynagrodzi te cierpienia długim życiem doczesnym, a później wiecznym. W nim pokładamy nadzieję. Siostra Emanuela chwilowo zaniemogła i gdy tylko Bóg pozwoli, to wróci do was pełnić swoją posługę – no i jechała dalej w tym tonie, a mnie się coraz bardziej zbierało na rzyganie. Ani słowa o tym, co naprawdę nas interesowało. Zacząłem się zastanawiać, co by teraz zrobił Mucha? Otóż Mucha by teraz wstał i powiedział tak:

- Przepraszam bardzo, przepraszam, że przerywam – wstałem i zrobiłem to, co zrobiłby teraz Mucha, bo krew mnie już zalewała i dość miałem tego nabożnego pieprzenia o Oddziałowej – chcielibyśmy się dowiedzieć do jasnej cholery, co się dzieje z naszymi kumplami, co się ich wywozi nocami i dlaczego w sobotę nie przyjechały studentki? Siostra Przełożona zamarła ze sztucznym uśmiechem na tej swojej chudej gębie. Do czego jak do czego, ale do tego, żeby jej przerywać, to nie była przyzwyczajona.

- Drogi bracie, w tej chwili najważniejsze jest zdrowie siostry Emanueli. Proszę uspokoić emocje, bo to szkodzi na serce. No dobrze już! – klasnęła w dłonie – wstańmy kto może – olała mnie zupełnie i zaczęła mówić do wszystkich unikając patrzenia na mnie – odmówimy teraz modlitwę za zdrowie siostry Emanueli.

- Chwileczkę – nie dawałem za wygraną – ale zadałem konkretne pytania i oczekuję odpowiedzi. Czy mam je powtórzyć? – dodałem dobitnie, bo coraz bardziej szlag mnie trafiał.

- No właśnie – usłyszałem blisko siebie podniesiony głos Szopina –

chcemy wiedzieć co się dzieje. Kolega zapytał, domagamy się odpowiedzi – i groźnie uniósł pięść do góry.

Przełożona pomilczała chwilę, zbierała myśli i wypaliła:

- Wiem, że ogromnym rozczarowaniem dla was było odwołanie warsztatów zajęciowych z wolontariuszkami. Przyznaję, że to był błąd, który doprowadził do wybuchu waszej złości. Nie mamy do was żalu, bo to świadczy jedynie o tym, jak bardzo byliście zaangażowani w te zajęcia. Naprawimy to. Wprawdzie wolontariuszki już tu nie wrócą, ale jutro wspólnie z siostrami nowicjuszками, które dziś mieliście okazję poznać, zrobimy przedstawienie. Zajęć i rozrywek wam nie zabraknie. Będziecie zadowoleni – i zanim ochłonęliśmy, zanim dotarło, co ona do nas mówi, pospiesznie opuściła salę i sobie poszła. Zostaliśmy sami z rozdziawionymi gębami i zatęchłym zapachem jej habitu.

Przedstawienie miało odbyć się następnego dnia wieczorem. Szkoda nam było tych dziewczyn w czerni i kto mógł, to trochę pomagał. Same nie dawały rady z niczym. Ani w basenowi, ani w kuchni, ani ze ścieleniem łóżek najstarszym dziadom. Pomagaliśmy, żeby szybciej zleciał czas do wieczora.

Po kolacji, znów wystrojeni jak na własne pogrzeby, zebraliśmy się w świetlicy. Pomimo różnych naszych ułomności, braków w kulturze, wiedzy i uzębieniu wiedzieliśmy dobrze, że do teatru trzeba się wysztygłować. A przecież to, czy my idziemy do niego, czy teatr przychodził do nas, to bez różnicy. Ważne, żeby nie wyjść na ostatniego ciula.

Okna były zasłonięte, a na scenie pojawiły się jakieś koślawe dekoracje. Znikły napisy o Nowym Roku, przepadły ozdoby z Bożego Narodzenia. W ich miejsce stanęły jakieś plansze przedstawiające chyba wnętrze kuchni. Krzywo wymalowany piec, garnki, czajniki, a przy piecu ławka. Z głośnika popłynęła nastrojowa, słabo nagrana muzyka i na moment zgasło światło. Usłyszeliśmy jakieś szurania, kilku dziadków trochę pokaszłało, posmarkało i światło zapaliło się na nowo.

Oślupieliśmy!

Na ławce przy piecu siedziała siostra Przełożona. Na habit miała założoną jakąś kolorową zapaskę czy może fartuch czy jak się to nazywa. Na głowie, zamiast swojego kornetu, miała taki biały czepiec, jak nosiły stare baby

w dawnych filmach. Na kolanach koszyk z robótkami, a w rękach druty, na które motała wełnę. Wokół niej jedna z nowicjuszek biegła po scenie z miotłą, wzbudzając w górę autentyczne tumany kurzu. Obie miały nałożone na gęby te swoje idiotyczne maseczki – teraz się im nawet przydawały w tej scenicznej kurzawie. A my nadal nie wiedzieliśmy o co chodzi, chociaż pewnie niektórzy z nas zaczynali się domyślać, bo pojawiły się brawa i głośne śmiechy. Na szczęście nikt nie gwizdał. Kiedy muzyka przestała grać, siostra Przełożona odezwała się do tej, która krążyła z miotłą:

- Lataj z tą miotłą niezdarco, bierz się do pracy fujaro. Śniadanie jeszcze niegotowe i twoje siostry zaraz zmyją ci głowę. A potem pozmywaj naczynia i drwa przynies z drewni. Jak córki moje wstaną, to ciepło ma być w kuchni! Ty leniwy kopciuchu, ty brudny flejtuchu! - skrzeczała Macocha-Przełożona wymachując drutem od robótek. Nawet maseczka nie była w stanie stłumić jej skrzekliwego głosu.

Nie wiem jak inni, ale ja w lot domyśliłem się, co to za sztuka wysoka się przed nami kręci. „Dziady” to raczej nie były. Dziadami byliśmy my. Traktowano nas z pobłażaniem, niepoważnie i infantylnie, to i sztukę zaserwowano nam na takim samym poziomie. Jak przedszkole, to przedszkole – na całego.

Dalej toczyło się już zgodnie ze znanym wszystkim scenariuszem. Przyszły niedobre siostry Kopciuszka, trochę się nad biedną dziewczyną poznęcały psychicznie i słownie, jakieś kopniaki nawet były czy inne połajanki. Śmieszne to było wszystko – one w tych habitach, w czarnych maskach, a na to pozakładane jakieś niby-kostiumy. Trochę z kolorowych szmatek, trochę z bibuły. Teatr na całego, ale raczej taki z Domu Ludowego w Panciawie koło Biadolin. Nie narzekaliśmy jednak, nie wybrzydaliśmy ani trochę. Biliśmy brawo, śmialiśmy się, gdy było trzeba, smuciliśmy się, gdy złe i brzydkie siostry znęcały się nad Kopciuszkiem. Trochę tylko zaczęliśmy chichotać w scenie, której nie ma w oryginalnej wersji, a którą na pewno wymyśliła siostra Przełożona. Jestem tego pewien, bo któż by inny? Gdy Kopciuszek dowiedział się, że nie idzie na bal, to grająca ją siostra wyciągnęła spod kostiumu i habitu różaniec. Padła na kolana i z oczami utkwionymi w niebiosa, zaczęła natchnionym głosem wzywać Matkę Boską, żeby sprawiła,

że ona też pójdzie na ten bal i męża tam znajdzie. Proście, a będzie wam dane – tak mówi Pismo! Zamiast Dobrej Wróżki, Kopciuszkowi objawiła się Matka Boska. Dalej szło już kanonicznie – obiecała karetę, woźnicę i księcia za męża.

- Ale pamiętaj! Nim zegar na wieży dwanaście razy wybije, nim kur zapieje, ty musisz znaleźć się z powrotem w swoim łóżeczku! - pouczała Matka Boska, którą grała najgrubsza z nowicjuszek. Na czarny habit miała założoną niebieską zasłonę, a nad głową kolebał się jej wieniec z gwiazd dwunastu. Nie wiem czy to było zgodne z duchem katechizmu, że Matka Boska objawia się sierocie i obiecuje jej rychłe zamążpójście. Nie wiem, nie moja to rzecz. Ale tak sobie myślę, że nie takie naginki w kościele przechodziły, więc pewnie i tę by przełknęli. No bo w sumie czemu nie? Chichotaliśmy z tego okrutnie i biliśmy brawo. Naprawdę było bosko!

No i do balu szło jak Pan Bóg przykazał. Pierwsza noc – Kopciuszek ucieka przed północą. Druga noc – Kopciuszek ucieka, a księżę coraz bardziej sfrustrowany! Grała go taka wielka zakonnica, najwyższa ze wszystkich, toporna w ruchach i głosie, a na dodatek wąsik się jej sypał pod nosem. Widzieliśmy, bo co chwilę jej maseczka spadała. Wypisz wymaluj – księżę!

Wreszcie zaczęła się trzecia noc balu. Kopciuszek w sukni z bibuły obracał się w objęciach księcia z wąsikiem, zazdrosne siostry łypały krzywo okiem, a zegar na wieży odmierzał swój rytm. Wydawało się nam wtedy, że wszystko powoli zmierza do dobrze znanego finału i żadnych niespodzianek tu już nie będzie. Bo co by mogło przeskoczyć Matkę Boską? Chyba tylko zmartwychwstanie, ale przecież nikogo nie ukrzyżowali.

Okazało się jednak, że byliśmy w błędzie. Stało się coś, czego nikt z nas się nie spodziewał i nawet najśmielsze sny nieczynnych alkoholików nie były aż tak śmiałe, jak śmiała i nedorzeczna okazać się miała rzeczywistość.

Do sali weszły jakieś nowe zakonnice. W rękach niosły tace pełne szklanek z winem. Nie jakieś tam kryształowe lampki, co to osobne na białe, osobne na czerwone. Zwykle szklanki z naszej jadalni. W uśmiechem częstowały naszych dziadków wykwintnym trunkiem. Bal rozkręcał się w najlepsze! Muzyka grała głośniejsz i głośniejsz, siostry donosiły ciągle nowy zestaw win, a publiczność zaczęła mieszać się z aktorkami, baśń z rzeczywistością, nikt już nie wiedział, gdzie jest scena, a gdzie widownia. Dziadki poszły w tan!



Rozochoceni winem, głośną muzyką i bliskością młodych dziewczyn – ciul tam, że w habitach – zaczynali powoli tracić więź z przytłaczającą rzeczywistością. Zaczął ziszczać się sen wariata śniony nieprzytomnie!

Ja nie piłem. Nie dałem się nabrać na tę cudowną przemianą codziennej wody w surowo zakazane wino. Swoje już w życiu wlałem, dziękuję wystarczy. Gdybym teraz napił się choć pół szklanki, to popłynąłbym w długą podróż, z której być może już nigdy bym nie wrócił.

Stałem przy zasłoniętym oknie i czekałem na rozwój wydarzeń, bo tego, że coś tu się zaraz stanie byłem pewien. Siostry ciągle w maseczkach, spod których czujnie błyskały uważne spojrzenia, dziadki w coraz lepszych humorach zaczynały kompletnie tracić poczucie miejsca i czasu – to nie mogło się dobrze skończyć. Kątem oka dostrzegłem zza niedokładnie dosuniętej zasłony błysk niebieskich świateł. Znałem już to halo, wiedziałem co jest grane. Dyskretnie uchyliłem kotarę i spojrzałem na zewnątrz. Nie żebym się poczuł jakoś specjalnie zaskoczony, o nie.

Za oknem było już ciemno, ale jeszcze nie noc. Na podwórku stały dwie karetki i właśnie w momencie, w którym spojrzałem ich kierowcy wyłączyli swoje migające szklanki. Obok karetek stał większy autobus i mniejszy bus, z którego wysiadło ośmiu sanitariuszy w białych kombinezonach, maskach i tych dziwnych czapach. Po dwóch wysiadło z karetek. Wyglądali wszyscy jak plemniki z takiego jednego filmu Woodego Allena. Razem ich było dwunastu, a dyrygowała nimi siostra Przełożona. Szykowała nam się tu ostatnia wieczerza, ale wszystko wskazywało na to, że Judasz był rodzaju żeńskiego, a my wszyscy byliśmy Chrystusami rzuconymi na pożarcie Sanhedrynu.

Więc to się kroi. Jest muzyka, jest wino, są dziewczyny – ciul tam, że w habitach – a to wszystko po to, żeby nas zapakować w jakiś autobus i wywieźć nie wiadomo gdzie. Trzeba się ratować. Życie kochanie trwa tyle co taniec. Odszukałem wzrokiem Szopina. Jasne było, że wszystkich nie wyciągniemy, ale chociaż ostatniego kumpla musiałem uratować. Kręcił się właśnie jak oszalały z młodą zakonnicą, próbując złapać ją w tańcu za tyłek. Trafiła mu się jednak wyjątkowo sprytna sztuka, bo nie dawała mu się nawet musnąć końcem palców i zachowywała bezpieczny dystans. Z trudem odciągnąłem go na bok.

- Słuchaj stary, pryskamy – scenicznym szeptem wypułem mu w ucho.

- Ale gdzie, daj żyć, patrz jaka zabawa jest! - próbował mnie odepchnąć i wrócić w tany.

- To nie zabawa, to pułapka. Chodź zobacz – podprowadziłem go do okna. Odsunąłem zasłony. Szwadron plemników właśnie wchodził do budynku.

- O ja pierdołę... co to kurwa jest? - wydukał Szopin – wojna?

- Nie wiem co to. Nie widzisz, że od tygodnia coś tu śmierdzi? Ten bal siostrzyczki zrobiły, żeby nas wszystkich otumanić i wywieźć. Nie wiem jak ty, ale ja spierdalam.

- Ale gdzie pójdziesz?

- Nie wiem, kurwa! Do lasu, jak wojna jest, to jakaś partyzantka być przecież musi!

- Dobra, mój dziadek był wyklęty, to i ja mogę. Idziemy – podjął jedyną słuszną w tym momencie decyzję.

- Daj rękę, tańczymy – wyszeptałem – nie mów nic.

Uniosłem jego dłoń, drugą ręką objąłem go w pasie. Trochę się zdziwił, ale szybko pojął o co mi chodzi. Obracając się jak w walcu przedarliśmy się do drzwi na korytarz i niespostrzeżenie wyszliśmy ze świetlicy. Od strony głównych schodów słychać już było głos Przełożonej i tupot ciężkich butów na drewnianych stopniach.

- Szybko, do drugich schodów – powiedziałem – jakby co, to mówimy, że idziemy do kibla.

Na szczęście nikt nas nie zauważył. Schodami zbiegliśmy aż do piwnicy – było tam drugie wejście, którym pakowano dostawy do kuchni, ziemniaki, mąkę i takie tam, wszystko co potrzebne. Nie wiem czy święty, czy diabeł jakiś, ale ktoś nad nami czuwał! Drzwi były zamknięte tylko na zasuwkę i od wnętrza bez problemu udało je się otworzyć. Wyszliśmy na wolność.

Tuż za Domem rozciągał się lasek, otaczając budynek zielonymi ramionami sosen i świerków. Wieczór zapadał coraz ciemniejszy, księżyc świecił nadal słabo, a do tego po lesie zaczynała snuć się mgła. To mi się podobało. Poczułem się jak powstaniec, jak partyzant, co idzie do boju przez ciemny las, przez mgłę i zarośla, udając co kwadrans hukanie sowy, by dać znać kumplom z oddziału, że żyje, że zadanie wykonane. Wprawdzie

żadnego oddziału nie było, ja nie umiałem naśladować sowy, a jedynym moim kumplem był Szopin, który posłusznie dreptał za mną. Wyobraźnia robiła jednak swoje. Lubiłem takie fantazje, lubiłem czuć się bohaterem. Brakowało mi tego w Domu. A teraz proszę – mogę oddychać, mogę fantazjować, mogę po prostu iść przed siebie i być kim chcę. Przestałem myśleć o tym wszystkim, co wydarzyło się przez ostatni tydzień. O znikających dziadkach, zamaskowanych zakonnicach, o tupiących po schodach plemnikach. Zachłysnąłem się zimnym marcowym powietrzem, mgłą i szumem wiatru w koronach drzew. Czułem się jakbym rzeczywiście pił to wino, jakbym palił dżointy czy inne świństwa, a to było tylko zimne, leśne powietrze, w którym czułem wolność i nieznane. Taka przygoda pod koniec życia! Kto by to pomyślał!

- Dokąd idziemy? – Szopin przerwał mi moje fantazjowanie. Światła Domu zniknęły nam już z oczu, zostały gdzieś daleko za plecami. Lasek stał się już lasem, a drzewa wokół rosły coraz gęściej.

- Nie wiem, nie wiem dokąd bracie, nie wiem gdzie. Ale czy to jest teraz ważne? Po prostu idziemy. Na pewno znajdziemy jakąś drogę – powiedziałem z trudem powstrzymując nagły atak, ostrego, rozdzierającego płuca kaszlu.

## Spis Treści:

1. Sztuka życia	5
2. Sezon na werandowanie	15



ISBN 978-83-957580-0-3



9 788395 758003